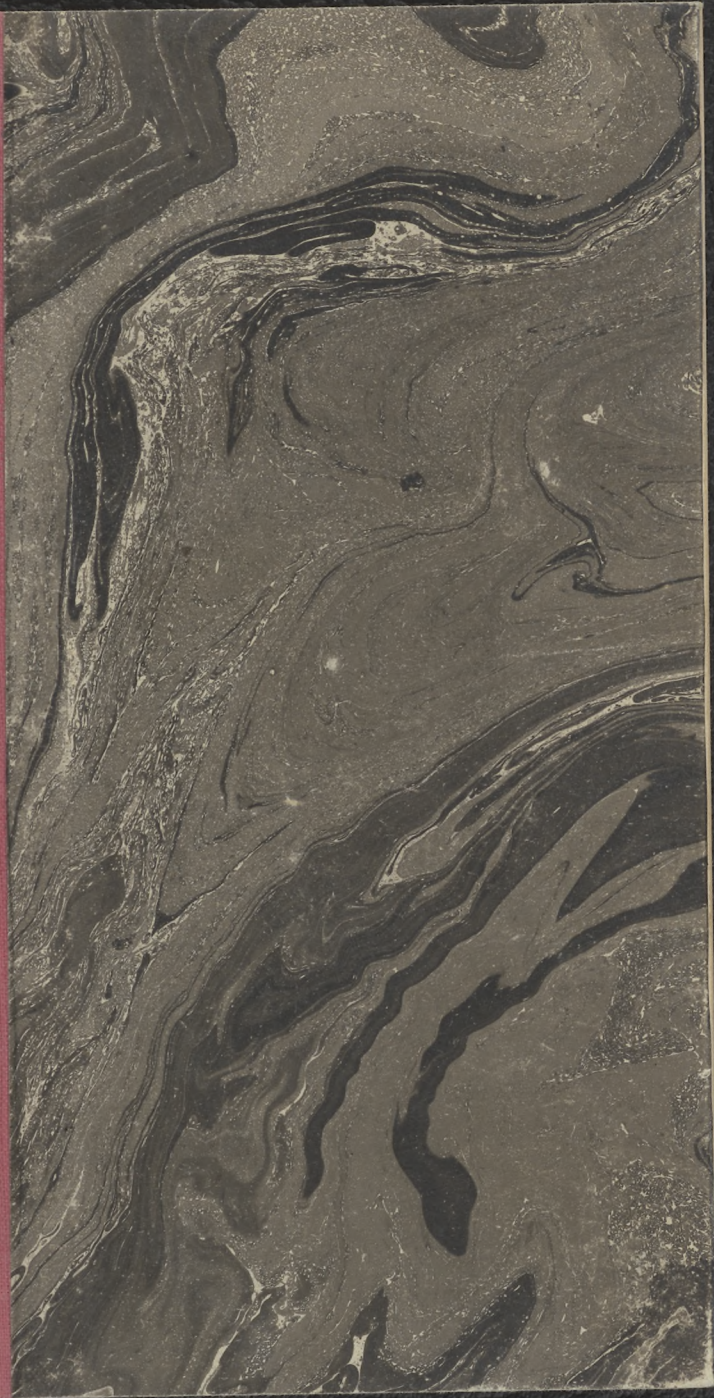
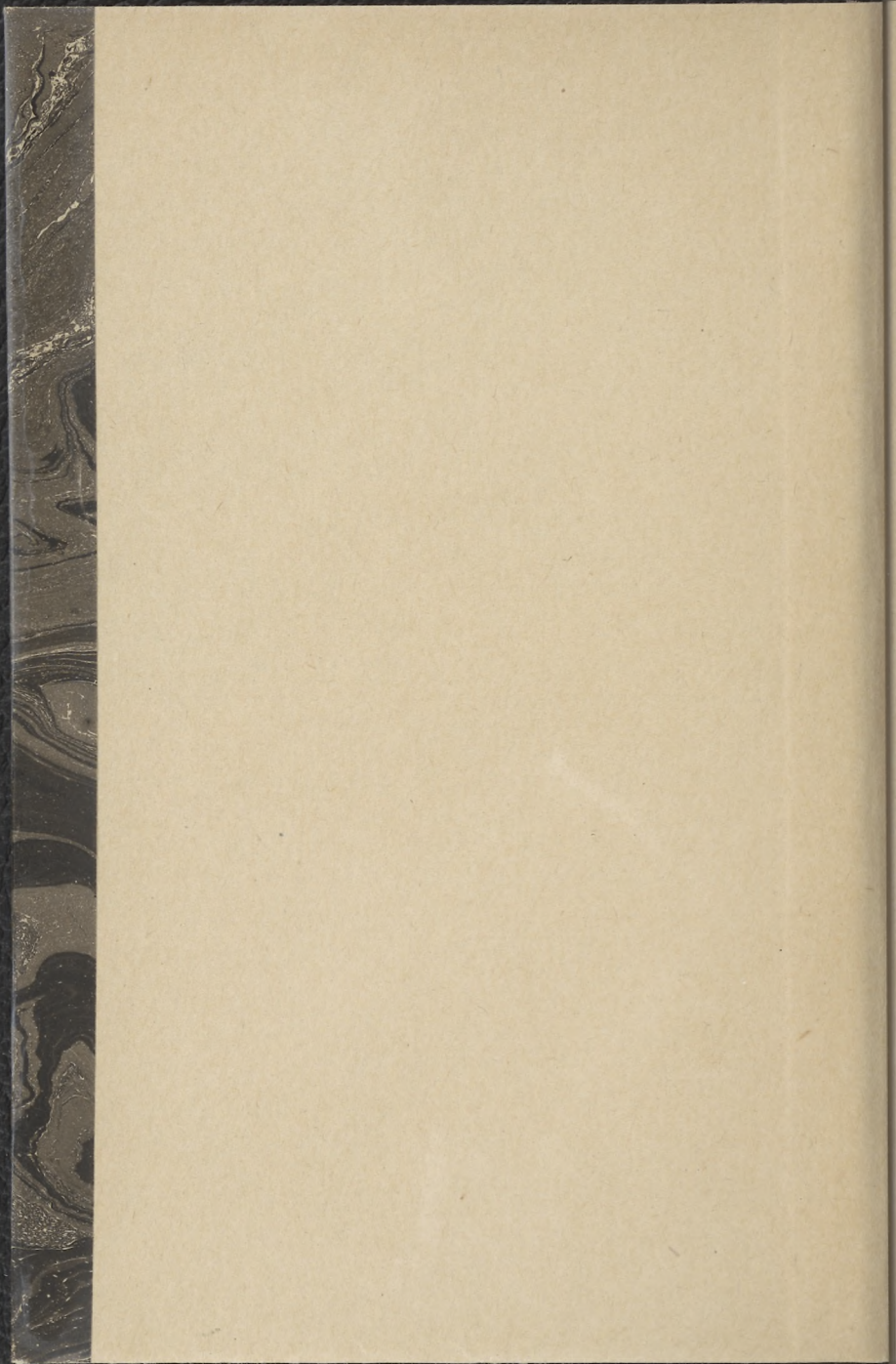
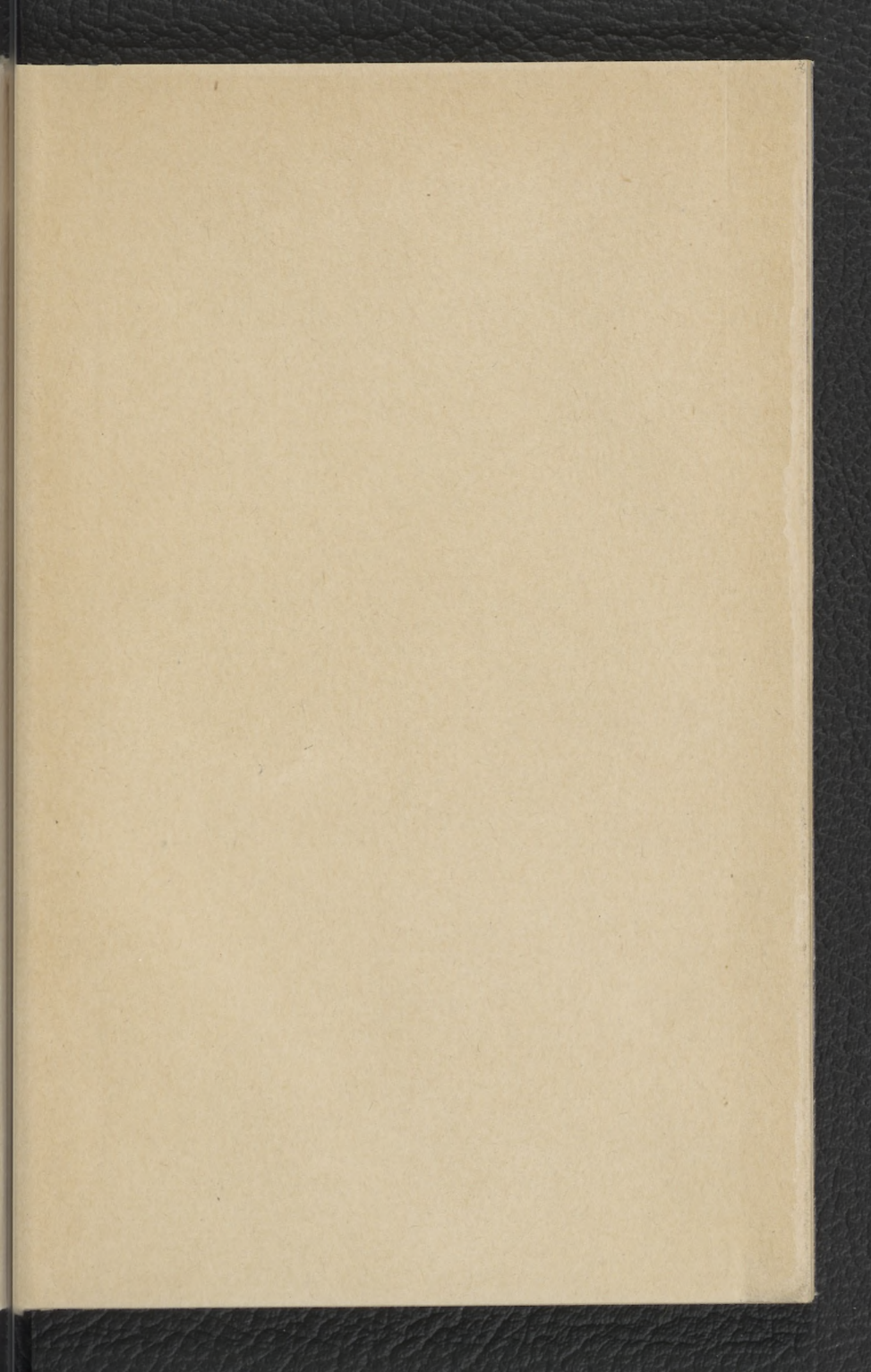


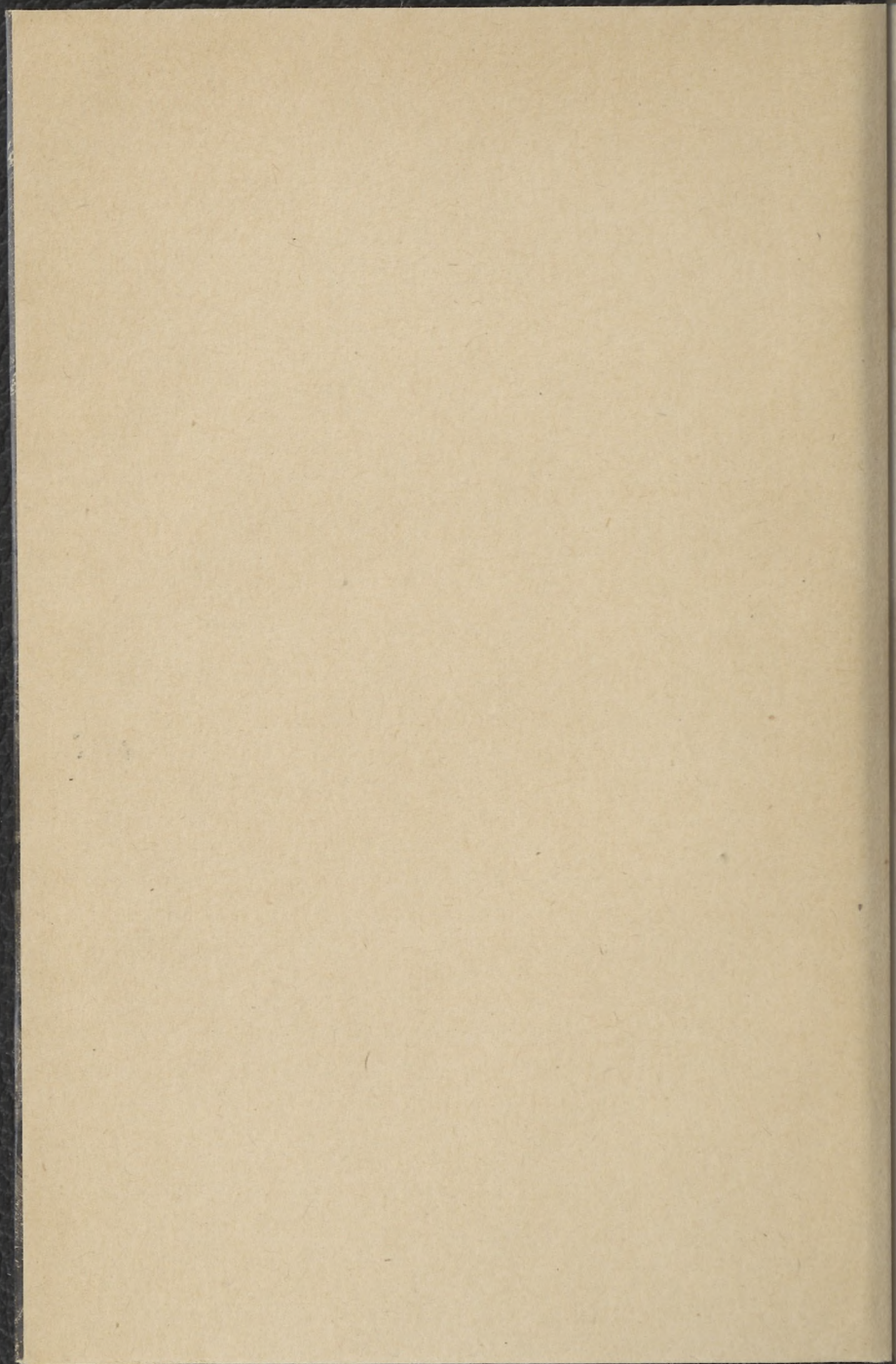
1468606













I 1468.606

ZAJMUJĄCE CZYTANKI DLA DZIECI I MŁODZIEŻY. Nr. 55.

---

JADWIGA WARNKÓWNA

---

# BAJKI

CUDOWNY GROSİK

KWIAT PAPROCI

Bajka, choć jest złudnej treści,  
Dużo prawdy w sobie mieści;  
Choć w fantazji mgłę spowita —  
To — nauka w niej ukryta...

---

WYDANIE DRUGIE

---

WARSZAWA \_\_\_\_\_ 1912  
AKŁADEM I DRUKIEM MICHAŁA ARCTA

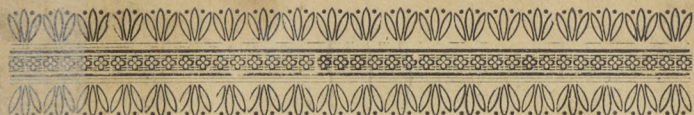
BIBLIOTEKA  
BN  
NARODOWA

I 1.468.606



1990 D 161/6





## CUDOWNY GROSİK.

### I.

...i wtedy Antek kazał sobie zrobić piękne ubranie, jeździł tylko kareta, zaprzęzoną w cztery kare ogiery, a jadł same pieczenie i delikatne placki, które popijał słodziutkim winem.

Temi słowy stara Monisia, opiekunka drobiu, znana ze swoich gadek i pieśni, nie tylko pomiędzy służbą dworską, ale i w całej Żabince, zakończyła bajkę: „O Antku, który ze źrebiarka został wielkim panem”.

— Mój Boże, jak się to czasem niejednemu szczęści! — zawołał stróż Szymon. — Ot! ten Antek dostał od jakiejś nieznajomej kobiety grosik zaczarowany i już mu odtąd szło wszystko jak z płatka.

— Żebym to ja taką dobrą wróżkę spotkała, — zawołała Marynka, — poprosiłabym ją o cudowny grosik, a potem nakupiłabym koralu dla wszystkich dziewcząt ze wsi.

— Ale wróżki i cudowne grosiki — to tylko są w bajkach...

— Nie zawsze, nie zawsze — odparła Sobkowa, nawijając świeżą kądziel na wrzeciono. — Pamiętam dobrze, i moja nieboszczka babka opowiadała mi często o pieniążku na szczęście... Jeżeli się przypadkiem na rozstajnej drodze znajdzie grosz, trzeba go podnieść lewą ręką przez prawe ramię, trzy razy na niego chuchnąć, a potem posmarować z obydwuch stron na krzyż maścią z orlego mózgu. Następnie ów grosz trzeba zamknąć w szufladzie zardzewiałym kluczem, a stanie się on naprawdę „grosikiem na szczęście”, bo ile razy się go podniesie, będzie pod nim leżał srebrny pieniążek, a w niedzielę i dni świąteczne to nawet dukat.

Marynka i inne dziewczęta zaczęły się śmiać, a wesoła Baśka przyskoczyła do Sobkowej i przymilając się starej, zawołała:

— A może wy wiecie, Sobusiowa, na jakiej rozstajnej drodze można znaleźć grosik?

— Oj, gdybym wiedziała, poszłabym go podnieść sama, nie tylko lewą ręką, ale lewą nogą — odparła Sobkowa, kręcąc bezustannie wrzecionem.

Potym odezwał się Szymon z jakąś uwagą, potym kucharz Antoni, a nareszcie służący Ignacy. Wszyscy byli tego zdania, że wartoby nawet było o dwunastej w nocy pójść na rozstajne drogi, byleby znaleźć grosik. Lecz naprawdę żaden się na jego poszukiwanie nie wybierał, bo nie bardzo wierzono w cudowną moc znalezionej miedziaka. Śmiano się dalej, żartowano i rozmawiano wesoło, każdy coś dodał, aby zabawić całą kompanję i wieczór długi, zimowy, prędko mijał.



Z całego grona jeden tylko Marcinek gęsiarek, ubogi sierota, siedział milczący przy kominie. Słuchał on pilnie bajki Monisi, potym opowiadania Sobkowej, potym całej dalszej rozmowy, ale nie wyrzekł i słowa.

Marcinkowi dotychczas nie było źle na świecie. Latem pasał gęsi; w zimie pomagał stróżowi, znosił drwa do dworu; miał ciepłą kapotę, czapkę barankową, a nawet stary kozuch; i tej jesieni pani sprawiła mu nowe, wysokie buty, z których się pysznił nadzwyczajnie. Zadowolony też był dotychczas ze swego losu, a że chłopak słuchał starszych i pracował chętnie, wszyscy go we dworze lubili i nikt mu nie dokuczał. Nie czuł więc swego sieroctwa i nie pragnął niczego więcej. Dopiero bajka Monisi: „O Antku, który ze źrebiarka został wielkim panem”, wywołała jakiś niepokój w jego duszy i zbudziła dotąd nieznanne życzenia. Słuchał opowiadania z niemym zachwytem, nie spuszczać oka ze starej Monisi. Opowiadanie o cudownym grosiku wpadło mu do mózgu, i jak węgiel go paliło.

— O, gdybym to ja znalazł taki grosik... Teraz, niepodobna, ale na wiosnę, gdy wypędzę gąski... Możeby i ja wyszedł na pana, jak ów Antek...

Z takimi myślami poszedł Marcinek spać do obory, a choć zatonął w miękkim sianie, pierwszy raz w życiu nie mógł zasnąć. Cudowny grosik przesładował go, jak natrętna zmora, której nie mógł odpedzić...

Przez małe okienko w oborze widać było szmat nieba; Marcinek spoglądał na iskrzące się gwiazdy i myślał, że teraz na rozstajnej drodze (którędy w zeszłym roku pędził codziennie gęsi) śnieg bieli się do-



koła, ale może tam... pod tym śniegiem... leży grosik i czeka na niego. A gwiazdki mrugały, mrugały, jakby mówiły Marcinkowi:

— Tak, tak, jest tam grosik dla ciebie, poczekaj tylko do wiosny, poczekaj...

Dobrze znużony, zasnął wreszcie chłopak po północy, lecz i we śnie cudowny grosik stał mu przed oczyma. Śniło mu się nawet, że on, biedny gęsiarek, jechał w złocistej karocy i miał na sobie jeszcze piękniejsze ubranie, niż Antek w bajce Monisi.

Rano, zbudzony przez Szymona, wstał żwawo, zabrał się do znoszenia drow, potem, po śniadaniu — poszedł do szkoły, dokąd w zimie zawsze uczęszczał, potem wrócił ze szkoły, zjadł obiad i znowu pomagał Szymonowi. Lecz myśl o cudownym grosiku nie opuściła go i na chwilę.

I tego dnia i następnego, a nawet przez całe długie tygodnie i miesiące zimowe bajka Monisi, jak widmo jakie, nie odstępiała go ani na krok... Nikomu się jednak ze swoich marzeń nie zwierzył, stał się tylko jeszcze cichszy i posłuszniejszy.

Nareszcie śniegi stajały, pola okryły się zielenią i ptactwo zaczęło wracać z zamorskiej wędrówki. Widok ciągnących żórawi i dzikich gęsi radością napełniał piersi Marcinka. Z największym szczęściem myślał o tej chwili, kiedy już będzie mógł wyprowadzić młode stado na paszę i popędzić je około rozstajnej drogi.

Ląg gęsi udał się tej wiosny doskonale. Monisia liczyła już, nie tylko na dziesiątki, ale i na setki, swoich małych, żółtych wychowalców, a Marcinek znosił młodziutkie pokrzywy, siekał je drobno, choć mu parzyły ręce, mieszał z kartoflami, karmił ga-



sięta, byleby tylko prędzej podrosły, byleby tylko prędzej mógł je wypędzić w pole.

W początku maja nadszedł nakoniec ów dzień tak długo oczekiwany. Marcinek przywiązał do młodej wiciny kawałek sznurka, na końcu zrobił węzełek, i trzaskając tym, na przędce skleconym, biczykiem, pędził z tryumfem swoją gromadę w pole.

Poranek był prześliczny. Nocne mgły opadły już gdzieś po moczarach i lasach, a słońce w całym swym nowym, wiosennym majestacie podnosiło się na horyzoncie. Skowronki śpiewały hejnał radosny, ginąc w białych obłokach pod samym błękitem, a świeża zieloność i pierwsze majowe kwiecie rozlewało dokoła woń upajającą.

Marcinek był zachwycony i na odmłodzoną naturę spoglądał z taką radością, jak gdyby pierwszy raz w życiu widział te zielone pola, usiane kwiatami łąki, obwisłe gałązki brzeziny i strugę, płynącą pod lasem.

Kiedy dopędził stado do rozstajnej drogi, gdzie po jednej stronie stał krzyż pochylony, a po drugiej drogowskaz, serce zaczęło mu bić młotem w piersi... Spuścił oczy — powiódł niespokojnym wzrokiem po ziemi i... o radości! właśnie na samym środku drogi, w miejscu, gdzie się ona w cztery strony krzyżowała, ujrzał coś świecącego w piasku.. Schylił się, spojrział... tak, oczy go nie mylą... jest to grosz, i do tego nowy, błyszczący. Widocznie dobra wróżka rzuciła go tutaj dla Marcinka na szczęście... Już wyciągnął prawą rękę, aby go podnieść, gdy wtym przypomniał sobie, co Sobkowa w zimie mówiła. Położył się więc na ziemię, wyciągnął się jak długi i lewą ręką przez prawe ramię podniósł swój skarb drogocenny.



Jakiś wieśniak przechodził właśnie z pługiem tamtędy i zaczął chłopakowi wymyślać, że tarza się w piasku, jak żrebak i niszczy ubranie. Marcinek jednak nie zważał na to, nie słyszał nawet uwag wieśniaka, i dopiero podjąwszy grosz, zerwał się na nogi.

Miał więc w rękę swoje przyszłe szczęście! W głowie mu szumiało! Zaiskrzonym wzrokiem patrzył na miedziaka i przyciskał go do piersi... Zdawało mu się, że wiatr w gałązkach drzew szemrze mu powin-szowania, że brzozy, pochylając się ku ziemi, kłaniają się jemu, Marcinkowi, przyszłemu wielkiemu panu, znakomitemu podróżnikowi, uczoneму człowiekowi...

Tak, on nie tylko chce być bogatym, pragnie on także być mądrym, uczyć się przeróżnych rzeczy, jak panicze we dworze, a potem pojechać w świat nieznanym... Ten świat daleki nęcił go zawsze. Ile on to przy gęsiach namedytował, co tam jest dalej za lasem i jeszcze dalej i jeszcze dalej...

Przyszedłszy trochę do przytomności, pobiegł za gąskami, wpędził je na przeznaczone im pastwisko, a potem oglądał znowu swój grosik i chuchnął na niego trzy razy—podług wskazówek starej Sobkowej.

— Gdzie tu poszukać maści z orlego mózgu?... myślał w dalszym ciągu.—Kto ją umie robić? Jeżeli jej nie dostanę i nie posmaruję grosza, na nic cała radość. Grosz nie będzie miał cudownej siły...

Gdy tak rozmyślał, zbliżyła się do niego Małgosia Taczalanka, niosąc w płachcie wonną miętę. Razem z matką, ubogą wdową, utrzymywały się obie tylko z tego, że zbierały w czasie wiosny i lata rozmaite zioła lekarskie, jak macierzankę, rumianek, miętę, kwiat bzuwy, lipowy i t. d. i sprzedawały je w mieście w aptece.



Małgosia lubiła Marcinka; zobaczywszy go przy gęsiach, zaszła do niego, a widząc, że chłopiec jest bardzo zamyślony, uderzyła go przez ramię gałązką dziewanny, wołając:

— O czym tak dumasz? Dzień taki śliczny, a ty siedzisz osowiały, jak puhacz.

— Nie wiesz czasem, gdzieby można dostać maści z orlego mózgu? — zapytał chłopiec.

— Rozumie się, że w aptecze — odrzekła Małgosia. — Widziałam tam różne flaszki i słoiki, kiedy w zeszłym roku poszłam z matką do miasta, aby odnieść panu aptekarzowi kwiat lipowy. W aptecze wszelkich lekarstw dostanie. Ale na co ci ta maść, czy cię jaki gad ukąsił?

Chłopiec nie odpowiedział, ale dalej pytał, jak daleko do miasta, gdzie tam znajduje się apteka, czy napewno dostanie tej maści, a odebrawszy od Małgosi szczegółowe objaśnienia, myślał już odtąd tylko o podróży do miasteczka.

Dziewczynka widząc, że Marcinek jakiś niemowny i roztargniony, wzięła płachtę i poszła dalej, a chłopiec pilnował gęsi; ale do wieczora przesuwały mu się w myśli nieustannie: miasto, rynek, apteka i maść z orlego mózgu.

Wreszcie upragniony wieczór nadszedł. Chłopak powrócił do domu, zagnał stado, a po kolacji — której prawie nie tknął — zamiast pójść do obory na siano, pobiegł pędem do wsi.

Na samym końcu Żabinki stała uboga lepianka, a w niej mieszkał Józef Sikora, dworski fernal. Z synem tego Sikory, Jędrkiem, był Marcinek w wielkiej przyjaźni. Chłopcy razem w zimie chodzili do szkoły, a latem często paśli razem gęsi. Do tego to Jędrka

pobiegł pastuszek. Chciał on przyjacielowi się zwierzyć ze wszystkich myśli, pragnień i postanowień, które, jak rój komarów, obsiadły mu głowę i tłoczyły piersi.

Jędrak siedział na płocie i wyśpiewywał na całe gardło:

„Wolki moje, wolki moje za lasem!  
A mam ci ja fujareczkę za pasem,  
Gdy na mojej fujareczce „zagraję”,  
Usłyszysz mnie droga matuś o staję”.

Zobaczywszy Marcinka, zeskoczył z płotu i zagadnął go słowami:

— Dokąd idziesz?

— Do ciebie przyszedłem, Jędrku, do ciebie. Powiem ci wszystko, co wiem, co myślę i co chcę zrobić, ale przyrzeknij mi, że nie powiesz o tym nikomu dzisiaj ani słowa.

— Żebym tak zdrów był, że nie powiem — zawołał Jędrak, uderzając się przy tym zakłęciu silnie pięścią w piersi.

Wtedy Marcinek, będąc już zupełnie co do dyskrecji przyjaciela upewniony, opowiedział mu szczerze wszystkie swoje utrapienia i radości, począwszy od przytoczenia bajki Monisi, aż do niezachwianej nadziei otrzymania maści z orlego mózgu w aptecę. Opowiadanie swoje zakończył temi słowy:

— Słuchaj, Jędrak, ja muszę jutro rano pójść do miasta... Skoro gęsi wypędzę w pole, przyjdź do mnie, popasiesz je przez kilka godzin, aby się — broń Boże — szkoda jaka nie przytrafiła... Ja nad wieczorem wrócę, a gdybym nie wrócił... kto wie, co mi się tam w mieście zdarzyć może, to zostań za mnie



gęsiarkiem... kozuch, sukmana i buty — wszystko twoje...

Jędrak stał zdumiony. Nie mógł on dobrze zrozumieć, o co właściwie chodziło Marcinkowi. Obejrzawszy znaleziony grosik, pomyślał sobie: „Grosz — jak każdy grosz”. Że jednak Marcinek w szkole o wiele lepiej uczył się od niego i gładkim czytaniem zawsze w niej przodował, nie śmiał więc objawić swego zdziwienia i rzekł tylko te słowa:

— Skoro masz iść, to idź. Ja gęsi dopilnuję, o to się nie troszcz... a jak będziesz miał dużo pieniędzy, to kup mi kozik...

Przyjaciele się rozstali.

Marcinek, powziąwszy już raz stałe postanowienie, uspokoił się zupełnie, zasnął prędko i spał twardo.

Nazajutrz, zbudzony przez Szymona, ubrał się pośpiesznie, zjadł śniadanie i popędził gęsi w pole.

Na drodze czekał już na niego Jędrak. Poczciwy chłopak dotrzymał słowa, a przy pożegnaniu dał Marcinkowi sporą kromkę chleba i kawał sera, które to specjały dała mu matka, gdy jej rano oświadczył, że wypędzi gęsi z Marcinkiem i cały dzień zostanie na błoniu.

Marcinek wyruszył więc w drogę i szedł wysadzonym gościńcem podług wskazówek Małgosi. Spamiętał sobie wszystkie wioski, przez które miał przechodzić, pytał po drodze ludzi, i choć do miasta było przeszło trzy mile, szedł tak szparko, że około południa stanął na rynku. Nigdy jeszcze w mieście nie był, to też z niemałym zdziwieniem przyglądał się murowanym domom, stojącym obok siebie, a serce mu zabiło gwałtownie, gdy na najokazalszym z nich przeczytał napis: Apteka Stanisława Melera.

Nie tracąc czasu, skierował się ku temu domowi, a widząc, że ludzie tam wchodzą środkowemi, oszklonemi drzwiami i on wszedł za nimi i przekonał się, że rzeczywiście było tak w aptece, jak Małgosia mówiła. Naokoło w szafach stało mnóstwo słoików, puszek, flaszek z rozmaitemi napisami, a siwy jakiś pan siedział przy stole i ważył coś na maleńkich wążkach.

— O, tutaj będzie z pewnością maść z orlego mózgu, pomyślał sobie. — Tyle różnych buteleczek i słoików...

Stał chwilę przy drzwiach za jakimiś kobietami, a kiedy się apteka trochę opróżniła, podszedł do siwego pana i rzekł z nieśmiałością, trzymając czapkę w ręku:

— Czy mogę dostać maści z orlego mózgu?

— Maści z orlego mózgu? — powtórzył, śmiejąc się aptekarz. — Kto ci o takiej maści powiedział i na co ci ona potrzebna?

— Do posmarowania cudownego grosika, który znalazłem na rozstajnej drodze...

— Jakiego cudownego grosika? — zapytał coraz bardziej zdziwiony pan Meler.

Wtedy wyciągnął Marcinek swój grosik i powiedział aptekarzowi, że trzeba go na krzyż maścią posmarować, aby był istotnie cudownym, a dalej opowiedział wszystko... o bajce starej Monisi i o jego pragnieniach, jakby to z gęsiarka stać się panem.

— Już ja o to tak bardzo nie dbam, — dodał w końcu — żeby zostać bogatym dziedzicem i jeździć w karecie, ale chciałbym za pomocą tego grosika osiąść naukę, rozumieć każdą książkę i zobaczyć świata kawał...



Mowa chłopca zaciękała pana Melera. Był to człowiek zamożny, bezdzietny wdowiec, rozumny i bardzo dobrego serca. Kazał więc chłopakowi iść się posielić do kuchni, a po obiedzie obiecał mu dać maści.

Marcinek ucieszony wielce, jadł za trzech i z rozweseloną miną stawił się w pokoju na zawołanie aptekarza.

Pokój, do którego wprowadzono Marcinka, był biblioteką; chłopczyna spojrział więc ze zdumieniem na znajdujące się w nim szafy, wypełnione książkami. Pan Meler siedział w wielkim fotelu i czytał gazetę. Na widok chłopca, odłożył dziennik i zaczął z nim rozmowę. Wypytał go szczegółowo, gdzie dotąd był, co robił, ile ma lat, jak się nazywa i t. d. Chłopiec na wszystkie pytania odpowiadał szczerze, rozumnie i z jak największą prostotą.

Odpowiedzi te i sympatyczna twarz chłopca spodobały się panu Melerowi; postanowił więc zająć się losem sieroty, będąc naprzód przekonany, że zgodzą się na to chętnie państwo Skulscy z Żabinki. Zaczynając aptekarz, uśmiechając się życzliwie do chłopczyny, powiedział:

— Chcesz więc maści z orlego mózgu, aby twój grosz stał się cudownym i rodził ci dukaty?

— Oj, chcę, proszę pana i bardzo o nią proszę.

— Ale czy ty wiesz o tym, że jeżeli maść ma być skuteczna, to trzeba na to szczerze pracować? Leniuchom i darmozjadom nie mnożą się pieniądze... i dla takich maść nie ma żadnej siły.

— Ja pracuję, niech się pan spyta naszej pani, stróża Szymona i starej Monisi.

— Wierzę, wierzę, ale twój grosz musi zostać u mnie w aptece, bo maści ci dać do ręki nie mogę...

Jeżeli jednak chcesz, możesz i ty zostać u mnie. Będziesz moim uczniem i pod moim okiem trzeba ci będzie na to zasłużyć, aby grosik nabrał siły. Musisz mi wiernie służyć, pilnie się uczyć i szanować nie tylko to, co do ciebie należy, ale i każdą moją własność. Uprzedzam cię jeszcze, że służba nie będzie ani lekka, ani krótka.

Marcinek pocałował aptekarza w rękę i powiedział bez wahania, że zostanie chętnie u pana Melera w służbie, jeżeli pani z Żabinki na to pozwoli.

— No, to posmarujemy grosz maścią—zawołał wesoło aptekarz, zobaczymy, co się z nim stanie.

## II.

Od tej chwili rozpoczął Marcinek zupełnie nowe życie. Po odebraniu przychylniej odpowiedzi od państwa Skulskich, pan Meler wziął chłopca, jako swego ucznia do apteki, a że Marcinek był z natury dobry, pracowity i roztropny, starał się więc swojego nowego pana we wszystkim zadowolić i w krótkim czasie pozyskał sobie szczerę przywiązaną swego opiekuna. Dzień cały pracował w aptece, uczył się rozpoznawać zioła lekarskie i różne esencje, a wieczorem brał go pan Meler do biblioteki, wydobywał którą z książek i powoli zapoznawał ze skarbami wiedzy.

Nie był to trud bezowocny; Marcinek łaknął nauki i pokochał ją szczerze.

Po kilku miesiącach usilnej pracy, pan Meler rzekł do chłopca:

— Marcinku, zajrzałem dzisiaj do twego grosza, i wiesz? znalazłem pod nim te sześć nowych pieniąż-





...Leniuchom i darmożjadom nie mnożą się pieniądze...



ków. Widocznie cudowny grosik jest z ciebie zadowolony; pracuj dalej, a zobaczymy, co będzie.

Oczy chłopca zapłonęły, jak gwiazdy, gdy spojrzął na świecące monety i wyciągnął do nich rękę.

— Czekał, czekał, kochanku—zawołał aptekarz, tak prędko ich brać nie można. Gdybyśmy zabrali pieniądze, toby grosz stracił swą siłę.

— Pewnie... — odrzekł z cicha Marcinek.

Po jakimś czasie znowu sześć sztuk przybyło, potem dziesięć, potem znów dziesięć, a na kolędę od razu dwadzieścia. Marcinek był bardzo rad, pozostawiał nadal swoje pieniądze pod opieką pana Melera i pracował coraz usilniej.

. . . . .

Przy ciągłym zajęciu czas szybko uchodził. Mijał miesiąc za miesiącem, rok za rokiem i nareszcie sześć lat upłynęło od przybycia pastuszka do pana Melera... Marcinek, obecnie dorastający młodzieniec, obeznany był już doskonale z aptekarstwem i książki z biblioteki nieomal wszystkie przeczytał.

Pewnego wieczora opiekun jego położył na stole sześćset sztuk srebrnej monety, a obok nich znalezione na rozstajnych drogach przez Marcinka grosik, i odezwał się w te słowa:

— Słuchaj, chłopcze, nauka pod moim kierunkiem i pod moją opieką już się skończyła, teraz musisz iść w świat poprobować własnych sił. Twój grosik u mnie w szufladzie pomnożył ci się bardzo; zobaczymy, co w twoich rękach ci przyniesie. Weź go, oraz te wszystkie pieniądze i ruszaj w świat, — a bądź zawsze roztropny, pilny i uczciwy.



Marcinek ze łzami w oczach ucałował rękę aptekarza, dziękując mu za wszystkie dobrodziejstwa i nazajutrz rano wyruszył do dalekiego miasta.

I znowu minęło lat kilka.

Pan Meler posiwiiał jeszcze bardziej, a czując się codzień starszym i codzień bardziej osłabionym, myślał często o Marcinku i tęsknił za nim serdecznie. Wiedział on, że chłopak uczy się pilnie, że zdaje świetnie egzaminy, to też jeszcze bardziej pragnął go jaknajprędzej zobaczyć.

Razu jednego, a było to na początku jesieni, siedział pan Meler w swoim małym ogródku i jak zawsze, tak i tym razem myślał o wychowawcu. Blade promienie słońca, padając ukośnie, słabo już tylko ogrzewały sposobiącą się do spoczynku przyrodę; wiatr targał srebrne nici babiego lata, lub pomiał spadniętym tu i owdzie żółkłym liściem; kwiaty, zamiast barwnych koron, pochylały ku ziemi przepełnione nasieniem zawiązki, a motyle i muszki gdzieś przepadły bez wieści. Pan Meler patrzył na obumierającą powoli naturę i jakiś smutek, połączony z serdeczną tęsknotą, ogarnął jego duszę. Wtym usłyszał dzwonek przy drzwiach wchodowych, potym rzeźkie kroki w korytarzu, na werandzie, a wreszcie tuż koło siebie.

Podniósł głowę i w tej samej chwili wysoki, przystojny młodzieniec z jasnym zarostem, starannie ubrany, rzucił mu się do nóg.

— Marcinek, Marcinek! — wołał wzruszony aptekarz, obejmując młodzieńca za szyję. — Z czym do mnie wracasz?

— Ze złotym medalem i stypendjum rządowym na podróż za granicę — wykrzyknął z tryumfem uszczęśliwiony młody człowiek.

— Dobry chłopak, poczciwy chłopak, kochany chłopak, — powtarzał wzruszony starzec. — Cudowny grosik przyniósł ci szczęście...

— Dzięki tobie, mój drogi opiekunie, umiałem się z nim obchodzić.

— O tak, widzę, że zrozumiałeś, iż uczciwość, pracowitość, oszczędność, pilność i wytrwałość wytworzyć mogą ową maść czarodziejską z orlego mózgu, za pomocą której zdobyć można: rozum dostatek i szacunek ludzki, choćby nawet zabrakło szeląga z rozstajnej drogi!

— Byleby się posiadało takiego przewodnika i do-brodzieja, jak ty, mój drogi ojczel!...

---





## KWIAT PAPROCI.

---

Zgasły nakoniec słoneczne blaski długiego dnia czerwcowego, i cichy, ciepły pogodny nadszedł wieczór.

Na okolicznych wzgórzach zapalono sobótki; — na płynącej w dolinie rzece zaczęto puszczać wianki. Była to wigilja świętego Jana.

Jaskrawe płomienie szczap smolnych rzucały snopy czerwonych światła; przy ich blasku już zdaleka dostrzec można było młodzież rozbawioną. Chłopcy skakali przez ogniska, dziewczęta śmiały się i klaskały w dłonie, a pieśń chóralna rozlegała się na wzgórzach i łączyła echem z pieśniami w dolinie — na rzece.

O, bo i tam kwitła wesołość i drgało życie w całej pełni! Małeńkie łódeczki uwijały się, jak cyranki po wodzie, a pomiędzy niemi płynęły zwolna z różnego kwiecica uplecione wieńce, z zatkniętymi w środku świeczkami.

Wianki posuwały się z biegiem rzeki, to łącząc się, to oddalając od siebie; świeczki płynęły wraz

z niemi, a ich niebieskawe światełka, kołysząc się leciuchno, raz drgały jaśniej, wyraźniej, to znów nikiły i słabły.

Czasami jakiś punkcik świetlany zgasł zupełnie i wtedy okrzyk zabobonnej trwogi wyrwał się z niejednej piersi; wkrótce jednak ogólna wesołość zaciebrała niemiłe wrażenie, wywołane przesadną wiarą \*) i szczerą zabawą, nie dająca się niczym zamącić, trwała bez przerwy.

Wreszcie ogniska na wzgórzach zagasty; czółna w dolinie przybiły do brzegu, i syta wrażeń młodzież podążała do wioski, nucąc jeszcze w drodze niedośpiewane przy sobótkach i wiankach pieśni: o nocy świętojańskiej, o kwiatach paproci i o szczęściu, które one sprowadzają.

Na samym końcu wesołej gromady szły dwie dziewczyny, równolatki i wielkie przyjaciółki. W jednym mieszkaly domu, na jednym wzrosły podwórku i nigdy się prawie nie rozłączały. Jedna z nich Baśka, przystojna czarnobrewa, była uosobieniem wesołości; druga Kasia, sierota, wychowana przez starą babkę, zawsze cicha i zamyślona, tylko smutne lubiła piosenki. Obie były dobre, pracowite i ogólnie w całej Brzezince lubiane.

Baśka za drugimi śpiewała głośno:

„Kto chce być szczęśliwy, kto chce być bogaty,  
Niech paproci zbiera kwiaty  
W noc świętego Jana,  
Dana moja, dana!”

---

\*) Zgaśnięcie świeczki uważane bywa za złą wróżbę.



— Czy ty wierzysz w to, że paproć naprawdę o północy kwitnie, i że kto ten kwiat znajdzie, będzie szczęśliwy?— rzekła zcicha Kasia do Baški.

— Dlaczego nie mam wierzyć? Starzy ludzie tak gadają i piosenki to samo mówią! Bieda tylko, że tak trudno znaleźć ten cudowny kwiatek, i że o północy trzeba iść po niego do lasu. Moja nieboszczka babcia, pamiętasz ją przecie, opowiadała mi w każdej wigilję świętego Jana różne dziwy o paproci. Kwiat jej tak drobny, że można go za paznokcie schować, ale się świeci jak złoto, i kto go znajdzie, nie tylko odkryje wielkie skarby, których djabeł pilnuje, ale jeszcze wiadoma mu będzie cała jego przyszłość.

Pewien chłop znalazł kwiat paproci, choć się o to wcale nie starał. Szukał on od kilku dni zaginionej krowy, a gdy w noc świętojańską o samej północy przechodził zasmucony przez las, wpadło mu przypadkiem w łapcie cudowne kwiecie.

Naraz wszystko się stało jawne dla niego; znalazł nietylko krowę, ale i wielki skarb, zakopany pod ementarzem i stał się odrazu bardzo bogatym człowiekiem.

Nie wiedział jednak, że posiada kwiat zaczarowany i gdy się rozszedł z łapci, kwiat wyrzucił, odtąd znowu wszystkie tajemnice były dla niego zakryte.

— Gdybym ja miała kwiat paproci, to chowałabym go bardzo skrzętnie — odrzekła Kasia, która całego opowiadania przyjaciółki słuchała z wielką uwagą. Po krótkim milczeniu dodała:

— Jakbym ja chciała znać swoją przyszłość, przeniknąć wszelkie tajemnice, wiedzieć nietylko to, co będzie w życiu, ale i co po śmierci... Wiesz co, Basiu, a gdybyśmy tak poszły we dwie do lasu?...



— Co? naprawdę? tybyś chciała iść tam dzisiaj o północy?... A czy nie wiesz, że w czasie rozkwitania paproci ziemia się trzęsie, pioruny biją, wiatr świszczy złowrogo, węże i żmije syczą, a djabli się śmieją?

— A może to nieprawda? — odrzekła Kasia. — Noc taka pogodna, skądby się naraz pioruny wzięły, a zresztą, gdy pójdziemy we dwie, to cóż nam się złego stać może? Taką mam wielką ochotę się przekonać, czy też naprawdę ta paproć kwitnie... A gdybyśmy też znalazły kwiat cudowny i dowiedziały się, co nam jest przeznaczone...

— A gdybyśmy się dowiedziały, gdzie są skarby ukryte — powiedziała, śmiejąc się Basia. — Podobno tam pod tym starym, murowanym mostem cała beczka złota jest zakopana; gdybyśmy tak naraz wiedziały w którym miejscu skarb się znajduje, dopieroby nam się udało!

— A więc pójdźmy do lasu, spróbujmy...

— Albo ja wiem, czy iść, czy nie iść... Trochę mam ochotę, a bardzo się boję...

Tak rozmawiając, dziewczęta doszły do wioski. Słowa „dobranoc — dobranoc” słyhać było naokoło i gromadka zmniejszała się co chwila.

## II.

Basia i Kasia mieszkały w bocznej uliczce, skrzyżowały więc ku swojej chacie, ale przyszedszy przede drzwiami, nie weszły do domu, tylko usiadły na przyźbie. Zdecydowane już były zupełnie wybrać się do lasu, czekały tylko, aż wszyscy udadzą się na spoczynek i cała Brzezinka się uciszy.



Na wieży kościółka wybiła jedenasta.

— Czas iść, — zawołała Kasia — do lasu spory kawał drogi.

Baśka jeszcze się trochę ociągała, wreszcie zaczęła się głośno śmiać i wśród śmiechu mówiła:

— Co mi tam! chodźmy! Nie boję się niczego! Nikomu krzywdy nie zrobiłam, to i djabli mię nie wezmą. Chodźmy, a skoro się z bogacimy, to nam druzdy dopiero będą zazdrościli!

— Cicho! nie tak głośno, — przestrzegwała Kasia. — Babcia ma taki leciuchny sen, to się jeszcze przebudzi i napędzi do spania.

Wistocie poruszyło się coś po lewej stronie chaty, gdzie mieszkała stara Filipkowa, babka Kasi.

Po prawej stronie mieszkali rodzice Basi, do których chata należała.

Dziewczęta nadśłuchiwały, a gdy w izbie zapadła znów cisza i wioska cała zdawała się już być także we śnie pogrążona, schwyciły się za ręce i pobiegły w stronę lasu.

Noc była prześliczna. Błady sierp księżycy ukazał się na pogodnym niebie i wraz z łagodnym światłem rzucał dokoła jakieś tajemnicze cienie. Powietrze, choć orzeźwione obfitą rosą, było jednak nadzwyczaj ciepłe i spokój niczym nie zamącony panował w całej naturze.

Baśka, choć jej serce mocno ze strachu biło, nadrabiała miną, śmiała się, a nawet próbowała śpiewać.

— Cicho bądź, cicho — szeptała Kasia.

— Nie boję się, ale jakieś dziwne ogarnia mię uczucie, jakby mię naprawdę coś nadzwyczajnego spotkać miało.



— Pewnie, że nas spotka... Może jutro będziemy bogatsze od Zakalika, który każdej córce daje pięć morgów gruntu na wiano. Dobrze, żeś mię namówiła do lasu. Bardzom ciekawa tego kwiatu paproci.

W miarę podążania naprzód, las przed oczami dziewcząt stawał się coraz wyraźniejszym; nakoniec zbliżyły się do pierwszych zarośli.

— Pójdziemy na wyręb, około dębiny — powiedziała Kasia cichym głosem — tam najwięcej rośnie paproci.

— Oj, tak daleko! może lepiej tu na brzegu zostać.

— Nie, nie, chodź, — mówiła, a choć się trzęsła, jak w febrze, ciągnęła Baškę za rękę ścieżyną przez las.

Znalazły się nareszcie na wyrębie. Był to dosyć duży plac po wytrzebionej dąbrowie. Przy świetle księżycy bielily się tu i owdzie niewykarzowane jeszcze grube pnie, otoczone krzakami jałowcu, a od wschodniej strony, gdzie stało kilkanaście starych dębów, niedaleko strumyka, cisnęły się jedna obok drugiej wspaniałe, strzępiaste paprocie.

Spokój dokoła panował zupełny. Ani jeden listek nie poruszał się na drzewach i krzakach, a tylko strumyk szemrał cichutko, a dęby rzucały długie, czarne cienie na oświeconą promieniami księżycy bujną trawę i gęste mchy. Młodociane liście drzew i innych roślin, zwilżone obfitą rosą, wydawały jakąś woń przyjemną, a cały wyręb wyglądał dziwnie pojętnie i tajemniczo.

Dziewczęta stały w milczeniu, objawszy się wzajemnie, wreszcie Baška rzekła cicho:

— Jak tu pachnie... może już kwitnie...



— O jeszcze nie północ... po jedenastej wyszliśmy, a nie biegliśmy tu dłużej jak dobre pół godziny. Poczekajmy jeszcze trochę...

A w tym złowrogie „uhu, uhu” odezwało się z wysokiego dębu.

— O jej, o jej, bardzo się boję, — szepnęła Baśka, tuląc się do przyjaciółki, — uciekajmy stąd, uciekajmy.

— Co?... bez kwiatu paproci? nie, nie! Zostań, zostań jeszcze chwilę tylko.

Hukanie puhacza nie ustawało, a z drugiej strony wyrębu mała sowa, którą wieśniacy „późdzką” zowią, zaczęła wołać: „pójdź, pójdź, pójdź”.

— Słyszysz, słyszysz... woła na nas późdzka: „pójdź w dołek pod kościółek”. O, ja nieszczęśliwa. Umieram ze strachu!

— Cicho, cicho.. zakwita, zakwita... — wymówiła ledwie dosłyszalnym głosem Kasia, i oczy wlepiła w krzak paproci, na którym dojrzała coś świecącego na liściach. — Wszak paproć ma kwiat drobny, złocisty, widzę go, widzę, a jak pachnie... aż dusi.

Z bladą twarzą, z oczyma szeroko rozwartymi, wstrzymując oddech, postąpiła Kasia kilka kroków naprzód, aby się pochylić nad krzakiem paproci i zerwać cudowne kwiecie.

W tej samej chwili zbudzony zajac z pod nóg jej wyskoczył, nietoperz krążący w powietrzu, uderzył ją w jasne czoło, ptak jakiś nocny zerwał się z szumem i łopotem z poblizkiego drzewa, a księżyc schował się za biały obłok.

— Wszelki duch Pana Boga chwali — krzyknęła Baśka i oczy zasłoniła rękami, a Kasia — ułamawszy gałązkę paproci — padła na ziemię, jak nieżywa.



Kiedy się znowu wszystko uciszyło, Basia odsłoniła oczy, a choć jej serce biło jak młotem, spojrzała trwożliwie naokoło, szukając Kasi.

Księżyc, przemknąwszy się poza obłokiem, oświecał już jasno wyręb i Basia spostrzegła swoją przyjaciółkę leżącą na ziemi.

Szczerze przywiązanie zwyciężyło wszelki strach. Poskoczyła coperdziej do Kasi, podniosła ją z ziemi, zaczęła całować, trzeźwić, dmuchając na twarz, tak, że Kasia wreszcie ocuciła się z omdlenia i otworzyła oczy.

— Chodźmy do domu, chodźmy, — wymówiła ci-chutko, a wspierając się na Basi, podniosła się z ziemi i wolnym krokiem opuściła wyręb.

Gałązkę paproci trzymała w rękę, a przyciskając ją do piersi, szeptała:

— Mam kwiat, mam. Widziałam go dobrze: drobniusiutki, świecący... dopiero potem gdy go już zerwałam, straciłam przytomność. Przyniesie on nam szczęście... zobaczysz.

Baśka nic nie odpowiadała; zanadto była jeszcze wzruszona. Szła więc milcząca, a obejmując przyjaciółkę, przyspieszała kroku, aby jak najprędzej opuścić ten las nieszczęsny.

Wyszły nareszcie na drogę. Ogarnęło je świeże powietrze pól rozległych; zaczęły więc szybko biec po wilgotnym od rosy piasku, ale Kasia słaśniała się co chwila, brakło jej siły w nogach, tchu w piersiach, a twarz dziewczęcia oblewała się obfitym, zimnym potem.

Musiały nawet czas jakiś odpoczywać na kamieniu przy drodze, bo Kasia dalej iść nie mogła.





... - Cicho, cicho... zakwita, zakwita... — wymówiła ledwie do-  
styszalnym głosem...



Tymczasem mrok nocny rozpraszał się powoli i na wschodzie zaczęło świtać.

— Chodźmy, chodźmy,—zawołała Basia—dzień będzie niedługo, zbudzą się ludzie... i gwałtem ciągnęła Kasię za sobą.

Biedna Kasia z wysiłkiem wielkim dowlokła się do wioski.

Gdy dziewczęta stanęły przed domem, już różowa jutrzienka złociła niebo, psy poszczekiwały tu i owdzie, a koguty po zagrodach piałły.

Przy rozstaniu Kasia złamała gałązkę paproci i dając jeden kawałek Basi, rzekła:

— Weź połowę, weź! Abyś i ty była szczęśliwa! Dobranoc.

I pocałowawszy przyjaciółkę, weszła cichutko do izdebki, a nie chcąc zbudzić babki, bez rozbierania rzuciła się na łóżko.

Baśka wsunęła się także do swego mieszkania, a że rodzice spali w alkierzu, nie słyszeli więc jej przyjścia. Dziewczyna rozebrała się prędko i marząc o bogactwach i szczęściu, które jej sprowadzi kwiat paproci, zasnęła szybko, włożywszy przed spoczynkiem zaczarowaną gałązkę pod poduszkę.

### III.

Po przebytych strachu spała twardo. Zbudził ją dopiero głos matki, która, stojąc obok jej łóżka, wołała:

— Cóż to, Baśka, po wczorajszych sobótkach jakoś wstać nie myślisz? Już krowę wydołam i zastałam śniadanie, ojciec od dawna z kosą na łące, a ty śpisz i śpisz!



Baśka zerwała się z pościeli, zaczęła oczy przecierać i już właśnie narzuciła na siebie spódniczkę, gdy weszła do izby stara Filipkowa ze słowami:

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki wieków—odrzekła Sikorzyna, matka Basi.—A cóż to sąsiadka taka zafrasowana? Czy, broń Boże, co złego się nie stało?

— A bogać tam dobre, moja kumo, — odrzekła Filipkowa, ocierając łzy ręką—Kasia mi chora. Wróciła widać bardzo późno z tych nieszczęsnych wianków i w ubraniu rzuciła się na łóżko. Zbudziła się nieprzytomna i teraz leży w strasznej gorączce, krzyczy, rzuca się, gada od rzeczy i jakąś gałązeczkę mocno w rękę ścisła.

Baśce wszystka krew do głowy uderzyła; wyskoczyła z łóżka i jak strzała pobiegła do Kasi.

Chora nie poznała przyjaciółki; patrzyła na nią błędnym wzrokiem, powtarzając cichym głosem:

— Znalazłam kwiat paproci... Ledwie nie umarłam ze strachu, ale jednak zerwałam gałązeczkę ze ślicznym, złocistym, drobniusińskim kwiatem... o samej północy. Sowy huczały, nietoperze latały i pewnie sam djabeł z pod nóg mi wyskoczył... ale mam kwiat! mam... będę szczęśliwa, będę, będę. Ja i Basia, bo jej dałam połowę gałązeczki...

Baśka, słuchając tego, szlochała głośno, a stara Filipkowa i Sikorzyna, które już też około łóżka stały, załamywały ręce i kręcąc głową, powtarzały:

— Co tu poradzić? Co tu poradzić?

Kiedy się wiadomość o chorobie Kasi rozeszła, przyszło ją odwiedzić kilka jeszcze innych kobiet ze wsi, a między niemi żona Miętusa, karczmarza, stara Szymonowa, która się na wszelkich lekach znała.



Obejrzawszy chorą, powiedziała, że ktoś na Kasie rzucił urok, ugotowała więc ziółek z poświęconych na Boże Ciało wianków, okadziła ją rosiczką i macierzanką i zawiązała czerwoną krajkę na szyi, a głowę kazała bezustannie okładać liśćmi z kiszonej kapusty.

Chociaż w mądrość Szymonowej wierzone w całej wiosce i choć od bezustannego okadzania chorej, w izbie prawie było ciemno, nie jednak zalecane przez Miętusową środki nie pomagały.

Kasia leżała w ciągłej gorączce i choroba wzmacniała się z dniem każdym.

— Możeby doktora sprowadzić? — mówiła z płaczem Basia do Filipkowej. — Szymonowa powiedziała, że trzeciego dnia musi się odmienić, że będzie tak, albo tak... A tu już dzisiaj piąty dzień i żadnego niema polepszenia...

Strapionej Filipkowej rada Basi przypadła do serca; chwyciła się jej jak ostatniej deski ratunku i nie tracąc czasu, powlekła się na wieś, uprosiła koni u bogatego gospodarza Pawlika i posłała do miasta po doktora.

W kilka godzin przyjechał z Kowalewa doktor Myszkowski, bardzo zany człowiek i dobry lekarz. Zbadał chorą, powiedział, że stan Kasi jest bardzo groźny, zapisał lekarstwo i kazał głowę lodem okładać.

— Skąd tu wziąć lodu w taki upał — powiedziała Filipkowa płacząc, i weiskając trzyrublowy papierek doktorowi w rękę.

Lekarz położył pieniądze na stole i rzekł wzruszony:



— Schowajcie to, matko, na lekarstwo. Pojutrze będę tędy przejeżdżał, to wstąpię zobaczyć chorą, — a chcąc uniknąć podziękowań biednej staruszki, wskoczył coprędzej na chłopski wózek i odjechał.

Kasię w całej wiosce ogólnie lubiono, wszyscy żalowali jej szczerze i litowali się nad Filipkową, a więc Jaśko Mazurek postarał się nawet o lód. Wiedział, że w sąsiedniej wiosce we dworze jest lodownia, pobiegł więc tam nad wieczorem i przyniósł pełniusięńki kubełek.

Baśka nie odstępowała przyjaciółki na krok ani w dzień, ani w nocy, i razu jednego — płacząc nad nią rzewnie, kiedy w izbie nikogo obcego nie było, wyznała wszystko starej Filipkowej, że w poniedziałek, po sobótkach, pobiegły obie do lasu szukać kwiatu paproci, że ona bała się bardzo i odradzała Kasi, ale Kasia koniecznie, koniecznie chciała pójść, i że zaraz w lesie zasłabła, skoro tylko zerwała gałązkę paproci...

Filipkowa, słuchając tego opowiadania, kiwała głową i powtarzała:

— Znalazło niebożątko szczęście, znalazło!

Kiedy doktor trzeciego dnia wstąpił zobaczyć Kasię, była już ona prawie konająca. Widząc, że już nic poradzić nie zdoła, rozkazał chorej już lekarstwem nie męczyć i ze smutkiem opuścił izbę.

Biedna Kasia nie odzyskała przytomności ani na chwilę; jednak na kilka godzin przed śmiercią uspokoiła się zupełnie, szeroko rozwartemi oczami patrzyła na obecnych, a potem cicho skonała, przyciskając do serca pokruszoną gałązkę paproci, której przez całą chorobę nie wypuściła z ręki...



IV.

Nazajutrz stara Filipkowa ubrała Kasię w białą spódniczkę i niebieski gorsecik, dziewczęta uplotły wianek z rozmarynu i włożyły go zmarłej na głowę, a nad wieczorem zaniesiono ją w malowanej trumnie na mogiłki.

Niewielki orszak żałobny, dążąc na cmentarz, przeciągał wśród łąnów dojrzewającego zboża, wśród łąk zielonych, kwieciem usianych.

Słońce świeciło tak jasno, ptaki śpiewały tak wesoło, świat cały był tak piękny i uroczy, a biedna Kasia pożegnała się z nim już na zawsze, na zawsze. Spała cicho snem wiecznym, nieprzespanym, w swej ubogiej trumience, w tej ostatniej ojcowiznie.

Złamana ciosem babka, szła zgarbiona, opierając się na kiju, tuż za zwłokami, a patrząc suchemi oczyma na trumnę (bo i leż już jej zabrakło), powtarzała, trzęsąc siwą głową:

— Chciała szukać szczęścia... i znalazła je... znalazła... bo umarła młodo... Nie zazna już żadnych trosk, ni smutków...

Basia oddawała się rozpaczce. Łamała ręce, szlochała głośno, a kiedy już trumnę wpuszczono do grobu, wołała przyjaciółki, przemawiała do niej najczulszemi wyrazami i nie chciała opuścić świeżo usypanej mogiły. Rodzice musieli ją gwałtem wyprowadzić z cmentarza.

Wróciwszy do domu, poszła zaraz do mieszkania Filipkowej. Stara siedziała pod piecem skulona, zgarbiona, jakby jej w przeciągu ostatniego tygodnia dwadzieścia lat przybyło i powtarzała monotonnym głosem:



— Znalazła moja Kasiénka kwiat papróci, znalazła szczęście, umarła młodo...

— A może Filipkowa ma rację — myślała sobie Basia, — może to i największe szczęście umrzeć młodo... może i ja umrę niezadługo.

I rozmyślając o śmierci, płakała przez cały tydzień, a codziennie nad wieczorem chodziła na grób Kasi i stroiła go w wianki z rozchodniku i bławatków.

Otrząsnęła się dopiero z wielkiego smutku, gdy jej ojciec powiedział, że żyto dojrzało, i że czas iść w pole do żniwa.

Pochwyciła sierp krzywy i pobiegła z innymi.

Dzień był piękny, pogodny; ukryte w zbożu przepiórki odzywały się tak wesoło, a w górze skowronki nuciły tak pięknie; jasne słońce było tak ciepłe i tyle czarów rzucało dokoła, że Basia pracując wśród tej cudnej natury, doznała pewnej ulgi, pewnej pociechy.

— Nie, Filipkowa nie ma racji! Nie jest szczęściem umrzeć młodo! Życie, praca, trud — to szczęście, a nie sen nieprzespany w zimnej mogile. Świat taki piękny, chcę żyć, nie chcę umierać młodo...

Kiedy przyszła do tego przekonania, pracowała w dwójnasób i zawsze była na przedzie.

Inne dziewczęta trochę niechętnym okiem spoglądały na jej gorliwość i mówiły do siebie:

— Nic dziwnego, że się Baśce szczęści na tegorocznych żniwach, przecież ma kwiat paproci...

Przy ciągłej, usilnej pracy, wróciła powoli dawna Basi wesołość: pod koniec żniw śpiewała już, jak przedtem, od rana do wieczora utrubione swoje piosenki, a na dożynkach, jako przodownica, poniosła wianek.



Taką samą pilnością odznaczała się w jesieni przy kopaniu kartofli; codzień najwięcej ukopała i najwięcej ze wszystkich dziewcząt zarobiła pieniędzy, a gdy nastawała zima i zbierano się w chatach z kądzielą na wieczornice, wrzeczono Baśki fureczką najzwawiej i zapełniało się zwykle najprędzej a przędza jej mimo to była najcieńsza i najrówniejsza.

Teraz to już i stare kobiety powtarzały:

— Wiedzie się Basi, wiedzie! Nie darmo widziała, jak paproć kwitnie.

Słyszac to, Baśka uśmiechała się wesoło i wreszcie zaczęła sama temu wierzyć, że zdobyła sobie szczęście w ową pamiętną noc świętojańską.

Spodziewała się ciągle czegoś nadzwyczajnego, i rzeczywiście, w zapusty niespodziewanie otrzymała sto rubli, które jej zapisał ojciec chrzestny. Wkrótce potem została żoną najbogatszego gospodarza w Brzezince.

Był to zwyczajny zbieg okoliczności: ow zapis ojca chrzestnego byłby Basię nie minął, chociażby nie była chodziła szukać kwiatu paproci, bo testament, jak się okazało, już przed trzema laty został spisany.

Niemniej wypadek ten zrobił wielkie wrażenie w całej Brzezince, a dziewczęta powtarzały:

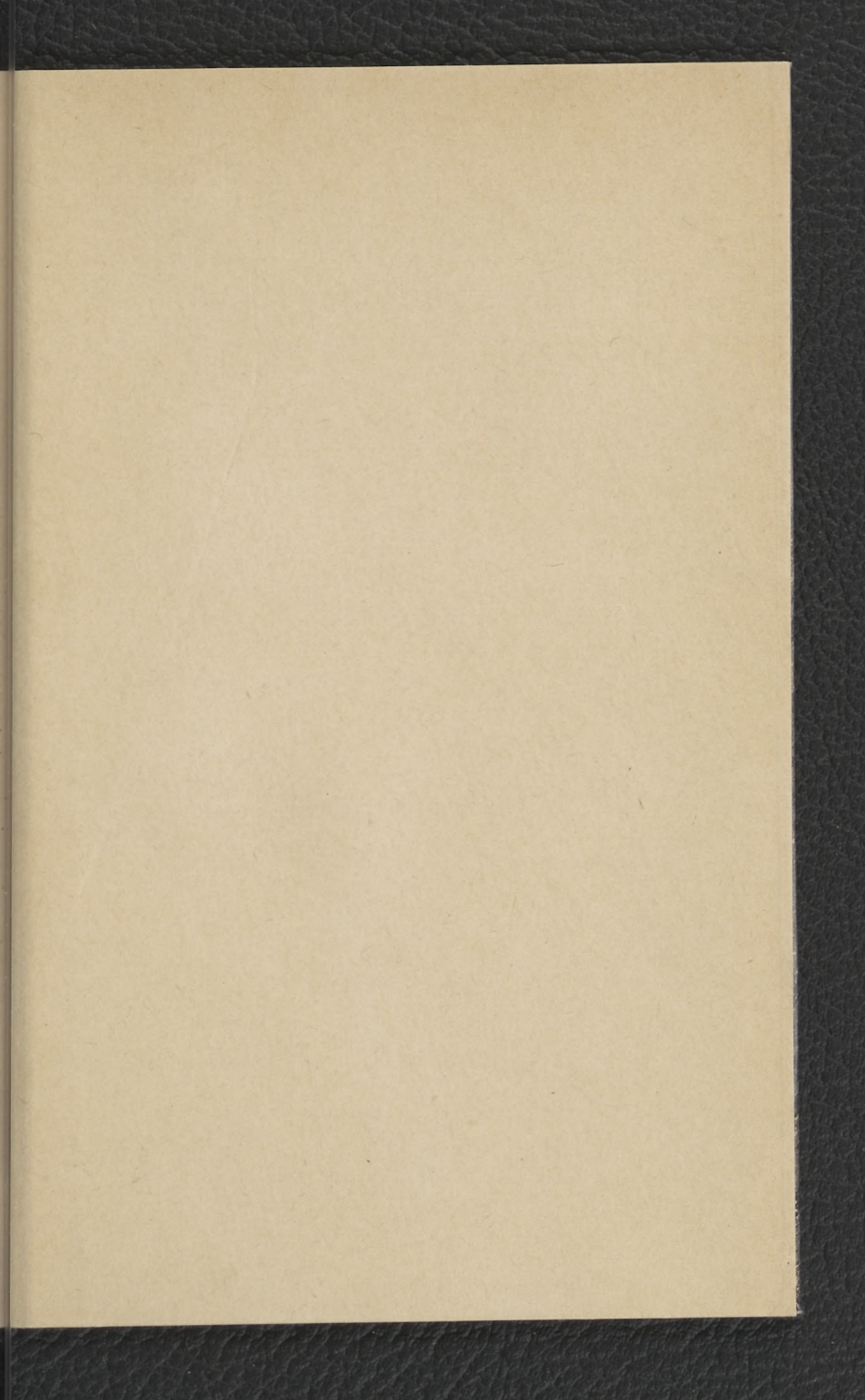
— Całe życie będzie jej się wiodło z tym kwiatem paproci!

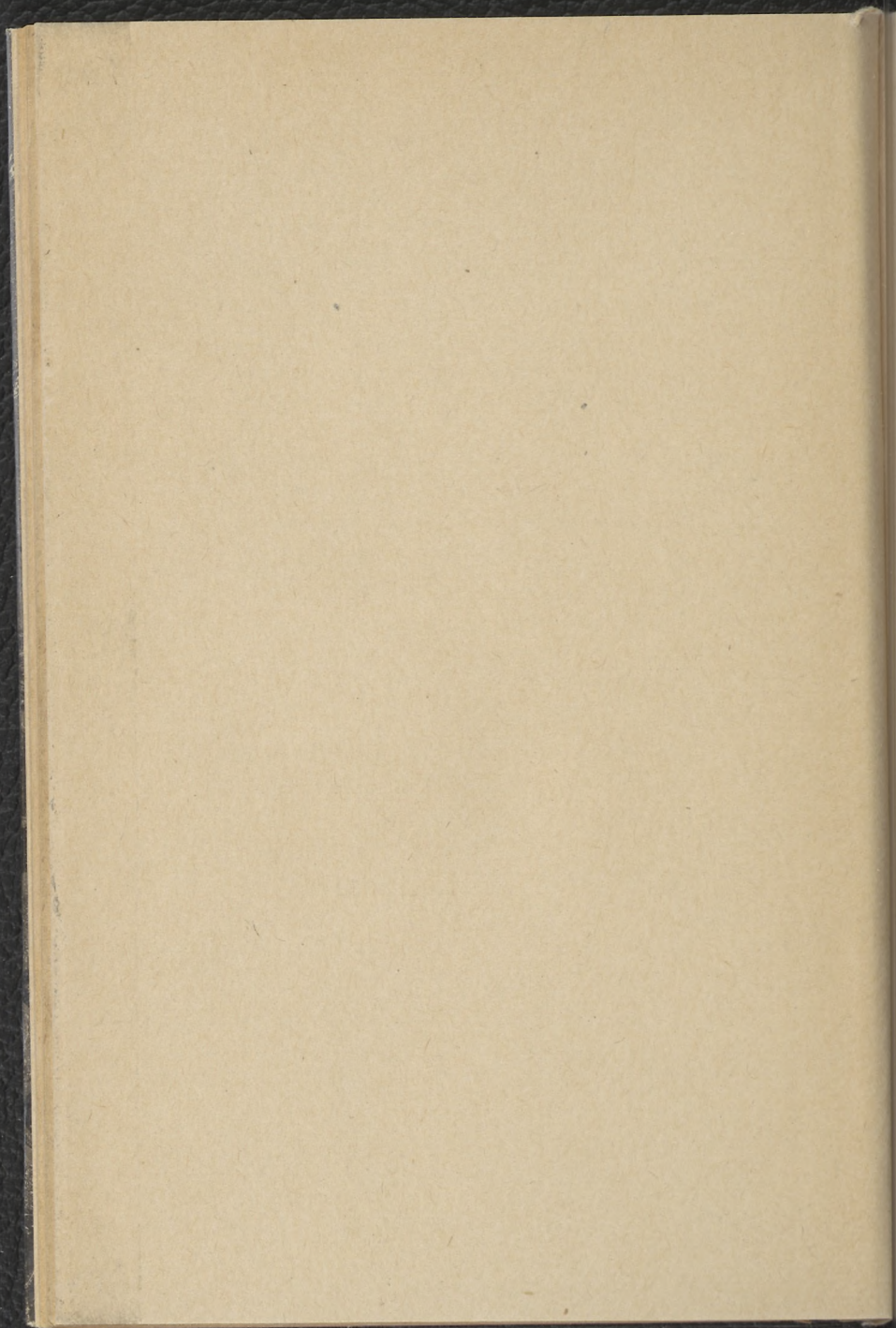
Nie przypuszczały bowiem, że owe, wrzekome świecące, kwiateczki, które biedną Kasię o śmierć przypawiły, a Baśce nibyto sprowadziły szczęście, były — błyszczące na gałązkach paproci świętojańskie robaczki.



der p. prof. Tschmitt.  
Nr. 120  
12.04.20









Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001021815957





BIBLIOTEKA  
NARODOWA

1468606

